Nr. 171. Lwów — Czwartek dnia 29 Lipca. Rok 189

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie 4 ct.
na prowincyi 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Dziś: 29 św. Marty P. | Martyny M.
Jutro: 30 św. Abdona i Senny | Jemyljana

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca o 4 m. 37
Zachód „ 7 „ 33

Długość dnia g. 14 m. 56
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 28 lipca.

W obec klęski, jaką poniósł rząd pruski w sejmie skutkiem odrzucenia noweli do ustawy o stowarzyszeniach i zgromadzeniach, nasuwa się z natury rzeczy pytanie, jakie konsekwencye wyciągnie rząd z tej uchwały sejmowej. Jak wiadomo, rządowi bardzo wiele zależało na przyjęciu tej noweli, a uzasadnionem jest przypuszczenie, że zależało na niej także wiele wyższej od rządu potędze, tj. koronie i że wniesienie tej noweli przypisać należy inicyatywie wyższej od tej strony. Już wystąpienie wiceprezydenta gabinetu pruskiego, a dawnego koryfeusza liberalnego obozu, p. Miquela, podczas sobotniej debaty zrobiło wrażenie że minister ten w prawdziwej kolizyi jest, iż musi bronić projektu, jemu osobiście niesympatycznego, bo sprzeciwiającego się całej jego przeszłości politycznej, ale mimo to broni go, gdyż słucha wyższego rozkazu. Podniósł to nawet wyraźnie przywódca wolnomyślnych Eugeniusz Richter, mówiąc, że trzy czwarte mowy p. Miquela mógłby wygłosić każdy przeciwnik noweli; że p. Miquel wysilał się tylko na to, aby upoić słuchaczy opisem pięknych kwiecistych łanów, po których społeczeństwo kroczyć będzie, gdy złagodzi się kontrasty socyalne, — i by zagadawszy ich w ten sposób odwrócić ich uwagę od właściwego przedmiotu obrad.

Rząd postawił tak kwestyę, że nie idzie mu o nic innego, jak tylko o to, ażeby mieć środki do zwalczania wywrotowych dążności i chronić państwo przed rozbiciem. Otoż rządowi uczciwemu, pojmującemu prawdziwie konstytucyjnie swoje zadanie i posiadającemu nieograniczone zaufanie społeczeństwa, każdy parlament dałby takie środki do ręki, bo miałby pewność, że ich rząd nie nadużyje W Prusiech jednak nie ma takiego rządu, społeczeństwo nie dowierza rządowi, a dowodem tego była właśnie sobotnia uchwała. Zaznaczyli to katolicy niemieccy i Polacy wyraźnie. Niestety długoletnia przeszłość aż nadto usprawiedliwia ich nieufność. Żyją jeszcze tradycye Bismarkowskie, nakazujące uważać i traktować jako wrogów państwa wszystkich, którzy sprzeciwiają się woli jednostki będącej u steru. Pod pretekstem zwalczania antipaństwowych dążności organa policyjne prześladowałyby najniewinniejsze nawet związki Polaków i katolików, wytworzyłby się formalny stan wyjątkowy uniemożliwiający nawet najlegalniejszą opozycyę. Zresztą sam powód bezpośredni wniesienia tej noweli wydać się musiał wielce podejrzanym. Wiadomo, że tuż przed ukończeniem obrad nad nowym kodeksem cywilnym dla całego cesarstwa niemieckiego, centralny parlament rzeszy zniósł opierający się na krajowem ustawodawstwie pruskiem zakaz łączenia się stowarzyszeń politycznych.

Ta uchwała miała także swoją historyę. Oto minister spraw wewnętrznych v. Köller, na podstawie owego zakazu łączenia się stowarzyszeń rozwiązał kierownictwo partyi socyalistycznej, a więc organizacyę czysto wyborczą, nie mogącą podpadać pod pojęcie związku stowarzyszeń. Gdyby taka praktyka została aprobowaną, wówczas rząd pod tym samym pretekstem mógł udaremnić akcyę wyborczą każdego stronnictwa i dlatego to, chociaż w tym konkretnym wypadku szło tylko o socyalistów, ogromna większość parlamentu oświadczyła się za zniesieniem owego zakazu. Aby zaś ta uchwała parlamentu nie została tylko martwą literą, zażądano, ażeby to zniesienie zakazu wstawiono do kodeksu cywilnego jako osobny paragraf. Rząd chciał wszystkimi sposobami temu zapobiedz i dlatego na posiedzeniu 27 czerwca 1896 kanclerz ks. Hohenlohe a następnie minister Bötticher dali solenne przyrzeczenie, iż rząd sam usunie stan prawny, stworzony istnieniem tego zakazu. Po tem oświadczeniu rządu dopiero większość parlamentu odstąpiła od zamiaru uchwalenia osobnego paragrafu w kodeksie, orzekającego, iż postanowienia ustawodawstwa krajowego, zakazujące łączenia się stowarzyszeń politycznych, tracą wszelką moc prawną. Jakkolwiek jednak oświadczenie kanclerza i ministra v. Böttichera dane było bez żadnych zastrzeżeń, mimo to nowy minister spraw wewnętrznych, v. der Recke, oświadczył stanowczo, iż rząd pruski zniesie ów zakaz, ale tylko za kompensatę, którą ma być uchwalenie noweli, skierowanej przeciw stronnictwom „wywrotowym“, „antipaństwowym“. Jeżeli więc rząd w ten sposób wywiązał się z danego słowa, to czegoż dopiero można się spodziewać, gdyby miał w ręku ową nowelę. Nie dał mu więc jej sejm i raz i drugi powiedział mu: „Nie wierzę ci“.

Zaznaczyliśmy na wstępie, że nasuwa się obecnie pytanie, jakie konsekwencye wyciągnie rząd z tego wotum sejmu. Otóż właściwie ma on tylko dwie drogi przed sobą. Jedną byłoby odwołać się do parlamentu centralnego i zażądać uchwalenia podobnej noweli nie tylko dla Prus, ale dla całego państwa niemieckiego. Tej drogi jednak z pewnością rząd nie obierze, gdyż skoro w sejmie, którego ordynacya wyborcza opiera się wyłącznie na kapitalistyczno-podatkowych zasadach nie mógł przeprowadzić swych zamiarów, to w parlamencie centralnym wybranym na podstawie powszechnego głosowania, nie zebrałby nawet 100 głosów dla siebie. Drugą drogą byłoby rozwiązać sejm pruski i rozpisać nowe wybory pod hasłem zawartem w obalonej noweli. I na tę drogę jednak rząd niezawodnie nie wstąpi. Znając bowiem usposobienie ludności, wie, że nowe wybory przyniosłyby mu tylko nową klęskę. A zatem, jak się zdaje, wybierze rząd trzecią, w konstytucyjnych państwach wprawdzie w teoryi nie dozwoloną, ale w Prusiech bardzo często praktykowaną drogę wydawania administracyjnych rozporządzeń i tajnych okólników. Dopóki korona powagą swą będzie pokrywać podobne akty ministrów, wszystko pójdzie gładko, atoli w Prusiech mało jest takich, którzyby wierzyli w trwałość teraźniejszego rządu.

Ostatnie wiadomości z Pesztu donoszą, że nie ma już prawie żadnej nadziei, aby udało się zawrzeć z opozycyą kompromis i skłonić ją do zaniechania obstrukcyi. W obec tego zamierza rząd pojutrze na posiedzeniu stronnictwa liberalnego zgłosić wniosek o obostrzenie regulaminu. Naturalnie nie ma mowy nawet o tem, aby ustawa o premiach od wywozu cukru i inne przedłożenia, znajdujące się obecnie na porządku dziennym, zostały w porę uchwalone, to też rząd sam zgodzi się na to, aby te sprawy usunięto na razie, a natomiast dążyć będzie do tego, ażeby przeprowadzić do końca tego roku obostrzenie regulaminu, prowizoryczne przedłużenie sojuszu handlowo-celnego z Austryą, prowizoryczne oznaczenie kwoty wspólnych wydatków i prowizoryum budżetowe. Ponieważ opozycya prowadzić będzie obstrukcyę przeciw wszystkim tym przedłożeniom, przeto konieczną rzeczą będzie ogłosić sejm w permanencyi.

Akcya ugodowa.

Piszą nam z Wiednia, 27 lipca:

W sierpniu rozpoczną się poufne rokowania ugodowe, które następnie, jeżeli dopiszą, w sejmie czeskim przybiorą formę uchwał. Ze stanowiska autonomicznego z pewnością nie można nic zarzucić takiej metodzie. Jest ona najwłaściwszą. Ale także stronnictwo centralistyczne musi się na nią zgodzić. Niezawodnie kwestya języka władz sama w sobie, odosobniona, nie może być rozwiązaną uchwałą sejmu krajowego, wkracza ona bowiem głównie w zakres władzy wykonawczej rządu centralnego, odpowiedzialnego nie sejmom krajowym, lecz Radzie państwa. Ale znane rozporządzenia językowe nie są ani jedynym, ani głównym powodem zatargu niemiecko-czeskiego. Oznaczają one tylko jego najnowszą fazę. Gdyby w sejmie udało się przeprowadzić kompromis np. na podstawie zmiany ordynacyi wyborczej przy równoczesnem utworzeniu kuryi narodowych, organizacyi okręgowej, albo uchwały, wprowadzającej obowiązek nauki obu języków krajowych w szkołach, co niedawno temu uchwalił sejm morawski, natenczas kwestya rozporządzeń od razu straciłaby wszelką doniosłość. Stronnictwo centralistyczne w r. 1890 bez wahania uznało kompetencyę sejmu prazkiego do uchwalenia projektów ugodowych. Na jakiejże więc dziś podstawie odmawiałoby mu tej kompetencyi?

Jeżeli *Narodni Listy* akcyę ugodową w Sejmie czeskim czynią zawisłą od równoczesnej akcyi ugodowej na Morawii, to przedewszystkiem trzeba rozróżniać pomiędzy formalną a materyalną stroną tej kwestyi. Według obowiązującej konstytucyi Sejm czeski nie może dyskutować o sprawach Morawii. Konstytucya wyraźnie zabrania nawet znoszenia się Sejmów krajowych. Natomiast nic nie przeszkadza temu, aby najprzód na poufnych konferencyach porozumiano się względem ugody tak w Czechach, jak na Morawii, i aby potem równocześnie Sejm praski i berneński uchwalił odnośne projekta. Ponieważ w Sejmie praskim istnieje większość czeska a w berneńskim niemiecka, przeto identyczne uchwały ugodowe obu Sejmów stanowiłyby nietylko formalną, ale także ważną moralną rękojmię chwilowego złagodzenia zatargu niemiecko-czeskiego, a w dalszej konsekwencyi płodnej czynności parlamentu w przyszłej sesyi.

Trzeba tylko śmiało stanąć na gruncie interesów realnych a wystrzegać się fantastycznych projektów. Do rzędu takich fantastycznych pomysłów należy np. ten, aby sejmy krajowe, ponieważ w ordynacyach krajowych zawsze jeszcze figuruje paragraf, według którego sejmy wybierają członków Izby poselskiej, wybrały po prostu na tej podstawie Izbę, jak bywała wybierana aż do roku 1873, aby taka Izba załatwiła wszelkie kwestye sporne i urzeczywistniła le meilleur monde de tous les mondes possibles (najlepszy świat ze światów możliwych). W roku 1867 właśnie dlatego upadł Belcredi, ponieważ Czesi upierali się przy zasadzie, że nie powinna być zwołaną „zwyczajna Rada państwa“, wybierana od r. 1861 przez sejmy krajowe, lecz powinna być wybraną jakaś fantastyczna Rada państwa „nadzwyczajna“. Daremnie Ziemiałkowski i inni posłowie nasi na poufnych konferencyach dołożyli wszelkich starań, aby Czechów odwieść od tego projektu i przełamać ich upór. Możnaby złożyć sporą bibliotekę z broszur, artykułów dziennikarskich, mów i t. d., w których Czesi wówczas dowodzili, że żadną miarą nie mogą obesłać Rady państwa „zwyczajnej“.

Teraz zaś po 30 latach, ta sama Rada państwa, zwyczajna, wybierana przez sejmy, która wówczas nibyto była nielegalną, przewrotną, szkodliwą i t. d., ma oznaczać zbawienie, ma być legalniejszą i lepszą od tej, która funkcyonuje od roku 1873 i którą całkiem ulegalizowały reformy wyborcze z lat 1882 i 1896, przeprowadzone przy udziale Czechów! Na taką kazuistykę nie przystanie żaden wytrawny polityk. Nie można cofnąć się o 30 lat wstecz. Rozwoju stosunków i instytucyi konstytucyjnych niepodobna po prostu negować. Można je naprawiać, ale nie wolno zaczynać ciągle *ab ovo*. Nigdy coś takiego nie dzieje się w Anglii, która bądź co bądź jest wzorem organizmu konstytucyjnego.

Zamiast więc bawić i łudzić się takimi fantastycznymi projektami, należy zaradzić trudnościom chwilowej sytuacyi. To przy dobrej woli uda się, bez zwołania Rady państwa z przed r. 1873. Kombinacyi tej oprócz wszelkich innych względów, stanowczo sprzeciwia się utworzenie nowej 5ej kuryi. Z pewnością nie należymy do wielbicieli powszechnego głosowania, ani w ogóle zbytniego rozszerzenia prawa wyborczego na warstwy, których dojrzałość polityczna ulega zastrzeżeniu. Skoro jednak takie rozszerzenie nastąpiło, niepodobna go ni stąd ni zowąd znieść. Bo to całkiem co innego odmawiać komuś prawa, którego się dopiero domaga, a odebrać mu już nadane. To drugie jest wywłaszczeniem, a na to wytrawny człowiek nie zgadza się; ani nawet wtedy, choćby było stosowane do — socyalistów.

KORESPONDENCYE.

Warszawa w lipcu.

Głównym przedmiotem zainteresowania dla tutejszej publiczności jest zbliżający się przyjazd cesarza. W obec tego zaś, czem się zaznaczyły dla nas dotychczasowe rządy naszego monarchy, przyjazd ten może się dla nas stać ważnym historycznym i politycznym wypadkiem. Przyjęcie, jakie tu przygotowują dla cesarza, będzie potwierdzeniem tego, że dobrze cesarz zrobił, iż zmienił system postępowania z nami, na każdym bowiem kroku widzieć będzie, że przyjęcie zaaranżowało społeczeństwo polskie, bez żadnego nacisku z góry, jak się to działo dotąd zazwyczaj przy tego rodzaju okazyach.

W dniu przyjazdu, oznaczonym na 31-go sierpnia, będzie Warszawa udekorowana w łuki tryumfalne, girlandy, chorągwie, a wieczorem odbędzie się rzęsista iluminacya. Aby zaś miasto wyglądało jak najokazalej, odnawiają się domy, poprawiają bruki, w pałacach i teatrach czynią potrzebne zmiany. Najważniejszym może objawem poczucia ważności chwili jest składka na fundacyę imienia cesarza Mikołaja II-go. Datki, które dotychczas na ten cel wpłynęły, są wprawdzie już bardzo wielkie, i wzmagają się pomimo wielu niesprzyjających warunków. Pominąwszy już przypadek, że ta składka zbiegła się ze składką na pomnik Mickiewicza, głównym nieprzyjaznym warunkiem jest, że prasa o niej milczy. Milczy zaś ze względu na to, że fundacya ta ma być dla cesarza niejako niespodzianką. Ukazało się tylko kilka artykułów, wspominających głucho o potrzebie wsparć dla kalek, starców i na tem koniec. Chodzi przytem o to, żeby składka odbyła się bez cienia nacisku, i decydujące sfery zauważyły, że pisać o składce nie wypada. Szeroka publiczność tedy ani o składce, ani o jej celu nie wie, a delegowani komitetu do zbierania składek, prawie każdemu *ab ovo* rzecz tłómaczyć muszą. Jedni czynią to zręcznie, drudzy mniej zręcznie. W każdym razie na poważniejszą opozycyę nigdzie nie natrafiono, chyba u takich, którzy na wszystko skąpią a w danym wypadku zasłaniają się względami zasadniczymi. Sam znam kilku takich, którzy kilka miesięcy temu strasznie pojednawczo usposobieni, obecnie nagle przedzierżgnęli się w opozycyonistów, bo komitet do nich zaapelował.

Tymczasem ks. Imeretyński w dalszym ciągu objeżdża poszczególne gubernie Królestwa Polskiego, a wszędzie towarzyszą mu objawy niekłamanej sympatyi ze strony wszystkich warstw miejscowej ludności. Korzystne bardzo wrażenie wywołało serdeczne bardzo przemówienie wielkorządzcy do gubernatora kaliskiego Daragana, który pełnem taktu postępowaniem zjednał sobie w swej gubernii ogólne sympatye i uznanie. Za czasów Hurki stanowisko p. Daragana, z powodu rzekomo nie wystarczającej rusyfikacyjnej działalności tego dygnitarza uważane było za poważnie zachwiane, obecnie zaś ks. Imeretyński złożył mu publicznie swoje podziękowanie, wyrażając przy tem nadzieję, że długie jeszcze lata spełniać będzie w tak godny, jak dotychczas sposób, swoje obowiązki. W serdecznem przyjmowaniu ks. Imeretyńskiego na prowincyi współzawodniczą zresztą z sobą wszystkie stany: duchowieństwo, obywatelstwo wiejskie, mieszczaństwo i włościanie. Jest to pierwszy może u nas wypadek, w którym przedstawiciela władzy rosyjskiej ludność miejscowa bez jakiegokolwiek nacisku z góry, wita tak przychylnie.

Pomimo takich, w oczy bijących faktów, świadczących, że nowa droga zbliżenia się rządu do społeczeństwa jest jedynie możliwą, czynownictwo, któremu nie w smak ta droga, bo poderwała raz na zawsze podstawę wyzysku, opartego na ucisku i nienawiści, wysila się na coraz to nowe gatunki denuncyacyi. Nieraz one są wprost śmieszne. I tak np. *Warszawski Dniewnik* nie chcąc dalej drażnić publiczności polskiej, zmienił tytuł jednej ze swoich rubryk, mianowicie, zamiast „Z kraju Przywiślańskiego“, zatytułował tę rubrykę: „Wiadomości miejscowe“.

Z tego powodu *Moskowskia Wiedomosti*, *Świet* i *Russkoje Słowo* rzuciły się na rosyjski organ warszawski z zapytaniem, jakiem prawem śmiał zmienić tytuł owej rubryki. *Warszawski Dniewnik* odpowiedział na to krótko, że nie wiedział dotąd o tem, że redakcya jednego pisma chcąc zmienić tytuły swych rubryk musi się pytać o pozwolenie pism innych.

Nikt nie bierze na seryo takich efemerycznych wybuchów. Konstantuje się je, poznaje gatunek, śmieje się z nicości wysiłku, a tymczasem korzysta z tego, co nam ta nowa droga dała już dotychczas. I tak — Sztuki „kontuszowe“, od niedawna dopiero przepuszczane przez cenzurę teatralną cieszą się olbrzymiem powodzeniem „Grochowy wieniec“ Małeckiego odegrano w teatrze letnim po raz szesnasty a „Towarzysz pancerny“ Wołowskiego nie schodzi z repertuaru teatru łódzkiego — Oprócz tego świat teatralny tutejszy zajmuje się projektem utworzenia tutaj prywatnego stałego teatru. Podobno jeden z tutejszych młodych autorów dramatycznych, cieszący się dzięki familijnym swym związkom poważnemi stosunkami z najwyższemi sferami urzędowemi, zgłosił się już w tej sprawie o koncesyę do Petersburga. Skoro koncesya ta nadejdzie, utworzy się konsorcyum z wybitnych tutejszych literatów i kapitalistów celem wprowadzenia w życie projektu. Stały prywatny teatr w Warszawie byłby nietylko przedsiębiorstwem pod względem finansowym bardzo korzystnem, ale przyczynić by się mógł także do podniesienia poziomu naszej sztuki dramatycznej, wytwarzając teatrom rządowym, obecnie dość mało się liczącym z wymaganiami sztuki, poważną konkurencyę.

Wystawa antyalkoholiczna.

Bruksela 20 lipca.

Wiadomo wszystkim, którym dobro ludzkości leży na sercu, że alkoholizm jest niezaprzeczenie największą plagą naszego stulecia, które możnaby przezwać „stuleciem alkoholu“.

---

5)

Z wycieczki do kąpiel w Boulogne.

(Ciąg dalszy).

Bywają czasem piękne dnie na bulońskiem wybrzeżu, tem pożądańsze, im rzadsze. Było teraz dni takich dziesięć z rzędu, a chociaż urok melancholii i mglistej tajemniczości, która do miasta przyrosła, znika wtedy, to wita się słońce z radością. Dawno niewidziany, prawie zapomniany przyjaciel.

Do codziennej kąpieli wybieramy się z większą werwą. Bum w najróżowszem usposobieniu, panna Kicia także.

Wogóle wolałabym wyperswadować Bumowi pretensyę, by się miał za naszego nieodstępnego towarzysza nawet do kąpieli, bo komplikuje on niezmiernie położenie. Wziąć go z sobą do kabinki? póki suchy, to pół biedy, ale po kąpieli, do której nie omieszka wstępować w nasze ślady, zabierać go znowu na to, aby zamiast prześcieradła używał naszych sukien? bo ten sposób kończenia tualety wydaje mu się najodpowiedniejszym.

Ale mnie nie, więc się Buma za drzwi wyrzuca, oddając go pod opiekę *baigneuse'y*, pięknej Julietty, grubszej od łodzi bezpieczeństwa, czerwieńszej od astry, od której wogóle kolorytu zapożyczyła, bo tak lica, jak i ramiona ma zabarwione na ognisto fioletowy kolor.

Po chwili jednak odzywa się wycie, szamotanie, nadobna Julietta woła tuż pod naszą kabinką: „Canaille! Monstre marin“, a Kicia mruczy, ubierając się: „Impertynentka! biedny psina! biedny Bumeczek!“

Szamotanie trwa dopóty, dopóki Bum na swojem nie postawi i do kabinki wpuszczonym nie zostanie.

Aby uniknąć niepokoju, zabieramy go najczęściej odrazu. Zdarzyło się dnia jednego, że kabinka nasza została w morzu, a my w niej czekałyśmy na konia i furmana, któryby nas zabrał.

Morze przypływało — szum stawał się coraz większy, bałwany biły o koła i ul nasz trząsł się, jak w febrze.

Wychylamy głowę przez okienko — ani koni, ani furmana w pobliżu; pora była spóźnioną, na małej *plaży* ruch ustał, łódź ratunkowa nie kołysała się na jej falach, widocznie zapomniano o nas.

Niemiłe położenie! Bałwan jeden uderza, drugi większy silniej, trzeci największy jeszcze silniej; już to taki ich zwyczaj, gdy atakują przeszkodę. Kabinka trzeszczy i drga i posuwa się to w tył, to naprzód, a woda już pokrywa wysokie koła.

Bardzo niemiłe położenie! Czy się rozebrać napowrót, wskoczyć w wodę i wyjść na brzeg? Kabinka drży coraz silniej, morze huczy coraz głośniej.

Wychylam głowę przez okienko; wołania mego nikt nie usłyszy, ale wywieszam improwizowaną chorągiew z chustki na znak trwogi.

Przecież zobaczyli mój sygnał; gwałt wielki, bo już podłoga kabinki wodą zalana, a bałwan, rozbijając się, nas i ławki obryzguje.

Zabrano nas na „suchą“ — ale emocye były niemałe.

Wracając dnia tego z kąpieli, poszłyśmy odpocząć na wybrzeżu morskiem, blizko *jetée en eau profonde*. To najdziksza część Boulogne: z jednej strony wał gór skalistych, z drugiej obszar morza niezmierzony.

Stamtąd cudowny zachód słońca; ale całkiem różny od zachodów na stałym lądzie, albo na południu.

Słońce czerwone, już bez blasków i promieni, wygląda jak balon nadęty. Toczy się, toczy ku dołowi, raptem wpada w morze i gaśnie — a dzieje się to dziwnie prędko, zdawałoby się, że spadło z nieba, wcale się tego nie spodziewając, albo, że ktoś wrzucił w morze pochodnię, którą w mgnieniu oka fale pochłonęły.

Potem zapalają się blaski w zielonych nurtach; błyskawice powstają i nikną, krzyżują się i płoną bengalskiem światłem; naraz cały pas morza zabłyśnie, jakby przez duchy podwodne z wewnątrz oświecony.

Kicia mówi, że to iluminacya w pałacu Amfitryty; — imieniny jej być muszą. Ale poprostu jest morze fosforyzujące; a chciałoby się tak w nie patrzyć bez końca, choćby noc całą...

* * *

Mariette-Pacha, najsympatyczniejszy i najuczeńszy z egiptologów, urodził się w Boulogne. Stąd w muzeum tutejszem zobaczyć można wiele ciekawych zabytków z czasów faraonów. Bulończycy, dumni ze swego współobywatela, stawiają mu pomniki, płaskorzeźby, przedstawiają rysy jego; jedna ze znaczniejszych ulic nosi jego imię; to jednak nie przeszkadza, że po większej części mieszkańcy nie mają pojęcia, co właściwie ten wielki człowiek zrobił dla ludzkości.

— Czyj to pomnik? — pyta ktoś raz jakiegoś przechodnia.

— Maryette paszy.

— Kto to taki? — pytał ten ktoś dalej naiwnie.

— Wielki bohater.

— Z jakich czasów?

— Napoleońskich.

— Tak? doprawdy? Dlaczego „pasza“?

Przechodzeń, dający te objaśnienia, odpowiada po krótkim namyśle z wielką brawurą: Turków zbił na głowę.

Biedny Mariette! Turków zbił na głowę. On, który nietylko, że nikogo ze świata nie zgładził, ale przeciwnie, o ile tu na tym świecie zmarłym życie przywrócić można, o tyle wskrzesił całe generacye zapomnianych faraonów.

A potem on i te wojny napoleońskie! Dziwna rzecz! Gdy tylko mowa o jakimkolwiek znakomitym człowieku, którego istnienie jest dla przeciętnego „bourgeois“ francuskiego trochę tajemnicze, nie omieszka ów „bourgeois“ wplątać go jako bohatera w wojny napoleońskie.

Dziwna rzecz, że u ludu w ogóle, żadna sława i wielkość nie wraża się tak w pamięć i nie wzbudza takiej czci, jak sława wodzów żołnierzy.

Ta właśnie wielkość, która najmniej imponować powinna, która łączy się z tysiącem klęsk i z największym krwi rozlewem, ta tłumy pociąga, innej nie pojmują.

Napoleon jest taką chwałą otoczony na tych wybrzeżach, że pobyt jego kilkakrotny w Boulogne-sur-mer zostawił rodzaj aureoli nad miastem, aureoli, niedostrzeżonej dla zwykłego śmiertelnika, który nie kocha się w blasku napoleońskiej epopei, ale widocznej dla każdego patryoty bulońskiego.

Ów ludożerca (jak go Kicia nazywa) gościł tu wiele razy między 1803 a 1810 r. Miał tu aż trzy rezydencye, z których jedna nad Pas de Calais, zwana *La toure d'ordre*, skąd jednym rzutem oka mógł objąć obóz, miasto, port i cały obszar morza.

O kilka wiorst od Boulogne miał ulubioną rezydencyę, *Pont de briques* zwaną, tam odebrał wiadomość z pod Trafalgaru i tam w jednej nocy wykończył plan kompletny bitwy austerlickiej.

Wielka armia rozłożyła się obozem na tych wybrzeżach, flota, która miała przybić do brzegów Anglii, na tych falach się kołysała.

Bardzo ciekawą i charakterystyczną jest także historya wysokiej kolumny, która wzniesioną być miała na cześć Napoleona; nie zdołano jej ukończyć, kiedy Restauracya inny jej cel wyznaczyła; zwano ją tedy kolumną Burbonów, później postawiono na cokule statuę alegoryczną „Pokoju“ i udekorowano ją liliami.

Z upadkiem Burbonów nowe komplikacye: Ludwik Filip wstąpił na tron i zadecydowano, że kolumna będzie poświęcona wielkiej armii; zniszczono lilie i zastąpiono je gwiazdami. A zanim ostatecznie ukończoną została, każdy rząd na nowe zmiany ją skazywał; co kilka lat zmieniano na niej dekoracye, stosownie do fantazyi nowych władzców.

O Napoleonie wiedzą zatem wszyscy w Boulogne, a gdyby kogo spytać, kim był Le Sage i Saint Beuve, pierwszy przeciętny „bourgeois“ buloński odparłby niezawodnie, że to wodzowie z czasów Bonapartego, nic innego nie przyszłoby mu na myśl.

A jednak Le Sage długie lata spędził w tem cichem mieście portowem.

Także słynny krytyk Saint Beuve tu ducha wyzionął, a tak jego, jak Le Sage'a prace większy i dłuższy wpływ wywierały i wywierać będą na umysły ludzkie, niż wszystkie wojny napoleońskie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Aqua-vitae (raczej *aqua-mortis*) stała się częścią składową naszego życia; bez niej nie ma dzisiaj ani narodzin, ani zaślubin; ani wesela, ani śmierci. Gdyśmy weseli — pijemy; gdyśmy smutni — pijemy; pijemy przy zawiązaniu jakichbądź stosunków socyalnych lub handlowych; pijemy, aby zaostrzyć apetyt; pijemy aby strawić zbyt hojnie spożyty pokarm; pijemy nawet z rozpaczy! Wszystkie narody płacą haracz okowicie; bez niej ministrowie finansów nie wiedzieliby, gdzie szukać funduszów na opędzenie wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych.

W chwili obecnej napoje fermentowane i dystylowane przynoszą corocznie skarbom publicznym głównych państw przeszło cztery miliardy franków. Cztery miliardy, głównie przeznaczone na podtrzymywanie przesadzonych uzbrojeń i kontyngensów wojskowych, z czego wnioskować można, że narody, tak zwane cywilizowane, zatruwają się alkoholem, aby osiągnąć środki do zabijania się na wojnie. Cała polityka ludzkości zdaje się kręcić około tej osi.

Ale i Belgia, której neutralność, choć zawarowana międzynarodowemi traktatami, nie pozwala na zupełne rozbrojenie, cierpi na tę samą chorobę. Konsumowanie napojów alkoholicznych kosztuje ją rocznie 475 milionów franków, czyli 70 milionów więcej, niż cały budżet państwowy!

W Belgii alkoholizm rujnuje, demoralizuje i zabija klasę roboczą; wyradza plemię i przyprawia o niedolę wielką ilość rodzin. Zalkoholizowany robotnik jest niezdolny dać sumy pracy, której pracodawca od niego żąda, czem przynosi bogactwu krajowemu dotkliwą stratę. Samej wódki konsumuje Belgia 75 milionów litrów corocznie w 195.000 szynków (na 6½ milionów mieszkańców).

Co rano, gdy otwierasz oczy, 1,370.000 franków naród wydaje na pijaństwo! Co rok więc blizko pół miliarda franków straconych, ku szkodzie moralnej i materyalnej mieszkańców; pół miliard, wydany na zaludnienie więzień (w których 74% alkoholików na 100 skazańców), domów roboczych i żebraczych (79% pijaków), na samobójstwa (80% skutkiem pijaństwa), na powiększenie o 45% liczby waryatów... ale na tem nie koniec.

Ta olbrzymia suma przyczynia się do zwyrodnienia rasy. Alkoholik stwarza krajowi dzieci chore, nędzne, bez siły i odwagi do życia: to znowu, jeżeli żyć będą, mieć znów będą potomstwo skrofuliczne, epileptyczne i zbestwiałe.

Oto bilans alkoholiczny w Belgii.

Nie dziw więc, że wobec tego niebezpieczeństwa „Liga przeciw pijaństwu“, której prezesem honorowym jest brat królewski, hrabia Flandrii, prezesem p. Belval, a sekretarzami dr. Vaneleroy i Polak, Henryk Merzbach, coraz bardziej się rozwija. Najwyższe osobistości krajowe i zagraniczne są członkami jej zarządu. Rząd stworzył nawet w swem łonie komitet specyalny dla walki przeciwko alkoholizmowi, do którego wyżej wspomnieni panowie zaproszeni zostali i który we wszystkich większych miejscowościach stwarzać będzie filie ligi brukselskiej. Dziś istnieją już większe filie w Liège, w Mons i Verviers. Rząd podtrzymuje ligę co raz znaczniejszemi subsydyami, aby jej pozwolić rozszerzać zakres swej działalności i propagandy.

Obecna wystawa dała sposobność lidze, już od 20 lat istniejącej, przedstawienia się przed światem z całym swym programem. W rządowym oddziale Hygieny stanowi ona pierwiastek przyciągający publiczność. Na obszernej przestrzeni wystawiła *la Ligue Patriotique contre l'alcoolisme* wszystkie swoje wydawnictwa, książki, broszury, traktaty, dzienniki, a jest ich już znaczna liczba; oprócz tego całą galeryę obrazów olejnych i akwarel, przedstawiających w drastycznych kompozycyach artystów tutejszych wszystkie, a bardzo liczne strony niebezpieczeństw, wynikających z nadużycia alkoholu; dyagramy, streszczające rozwój konsumcyi, chorób, strat moralnych i materyalnych, jakie ta plaga socyalna za sobą pociąga; wreszcie nietylko obrazy anatomiczne rozlicznych chorób, sprowadzanych nadużyciem trunków, ale i w osobnych słojach różne wnętrzności pijaków, zakonserwowane w alkoholu.

Nie dziw więc, że ta wystawa nowego rodzaju jest jedną z ponęt, która przyciąga tłumy nietylko *high life*'u, ale i klas roboczych i uczniów wszelkich szkół.

Oprócz tej wystawy, liga ma w ogrodach cztery kioski, t. zw. „Buvettes de tempérance“. w których za jedno *sous* dostać można buteleczkę doskonałej wody gazowej i gdzie się rozdają broszury i prospekty Tow. wstrzemięźliwości.

Samochodem do Paryża.

P. Naimski pisze w dalszym ciągu z Welsen nad Renem d. 18 lipca:

Wyprowadzeni z Hanoweru za miasto, wśród deszczu, dojechaliśmy do Stadthagen, starego miasteczka z zamkiem i parkiem, rezydencyą książąt Schaumburg-Lippe i mnóstwem domów stylowych.

Za Bückeburgiem zaczyna się już właściwa Westfalia, wyróżniająca się jasnym kolorytem wsi pąsowo-różowych z bardzo czystemi izbami wewnątrz dość wysokich i obszernych domów, przezierającemi przez schludnie utrzymane, choć wązkie okna, wszędzie obramowane białemi firankami. Wszystkie budynki kryte czerwoną dachówką. Kraj bogaty i odrębny nawet strojem włościan, zachowanym przez nich całkowicie, chociaż zatracono go w innych prowincyach niemieckich.

Nawet w dniu powszednim i nawet w polu przy robocie westfalki nie zdejmują z głowy ogromnych czepców czarnych. Spódnice noszą przeważnie pąsowe, wełniaki własnej roboty, zgrabne półbuciki czarne skórzane, głęboko zapięte na czarnej pończoszce, krótki staniczek z rękawkami po łokcie tylko, suto zahaftowanemi; wreszcie peleryny do samych kostek na cały strój narzucone i do połowy pleców falbankami naszyte w kolorze czarnym lub ciemnozielonym w rzucik, które nadają kobietom starszym pozór jakichś zakonnic z nieznanego oczom turysty klasztoru.

Smukłe i zwrotne o płowych włosach, zczesanych w toczek nad samem czołem, o żywem, czarnem oku, westfalki są najładniejszemi bez kwestyi Niemkami, jakie w dotychczasowej naszej podróży spotykaliśmy.

Młode dziewczęta noszą dla odróżnienia od mężatek czepki z denkami jasnemi, naszytemi haftem lub perełkami. Ciekawość niekłamana wygląda im z pod zadartych nosków, gdy widząc nas przejeżdżających, całe domy alarmują pojawieniem się niezwykłego powozu cała też ludność wiosek westfalskich wybiega za nami, aby choć okiem rzucić zdaleka za uciekającymi szybko trzema turystami.

W Minden nocujemy w hotelu „Victoria“ na Rynku, gdzie po raz pierwszy w tej podróży samochód znajduje wygodną i zamkniętą remizę.

W sobotę zrana, d. 17-go b m. o godzinie 8. minut 15, wyruszamy z Minden, przebywając ów przesmyk górski „*Porta vestphalica*“, w którym ślicznie położone i dobrze urządzone hotele zapraszają licznych podróżnych, przybywających dla obejrzenia pomnika Wilhelma I-go, kaplicy Witekinda, pięknego widoku górskiego z góry tejże nazwy, na całą dolinę Wezery, w której rozsiadło się i Minden, otoczone zwartym pierścieniem jasnych, jak mozaika kolorowych wiosek.

Przez kąpiele Oyenhausen z tężniami, jak w Ciechocinku, o godzinie 10 minut 15 zrana, przybywamy do Gerfordu, oddalonego o 30 kilometrów od Minden. Jest to druga głośna siedziba hrabstwa Zaremberg, datująca się z IX-go wieku. Szosa bardzo dobra, choć górzysta, ciągle wśród lasów lub alei drzew owocowych, klonów i dębów prowadzi dalej do pobliskiego Bielefeldu, miasta, gdzie kwitnie przemysł lniany i wogóle fabryczny, a które przebywamy o godz. 11-tej min. 5 przed południem. Za miastem po godzinie drogi przekraczaliśmy, powoli wspinając się pod górę, drugi wierzchołek górski, po lewej i prawej ręce w lekko zarysowanym promieniu, ciągnący się „Teutoburgerwald“, poczem już bez przeszkód przejeżdżamy o godz. 12-tej min. 40 z południa Gutersloh, miasto słynne tkalniami bawełny i jedwabiu, orazześrodkowanym handlem szynkami i kiełbasami westfalskiemi; w Rheda o godz. 1-ej min. 20 zjeżdżamy z głównej szosy na bardzo dobrą boczną, ciągnącą się wzdłuż kolei wicynalnej, przy samym plancie szosy wytkniętej.

O godz. 3 min. 15 po południu wjeżdżamy przepysznie ubitą szosą do Monastyru, głównego miasta Westfalii i najbardziej katolickiego miasta Niemiec północno-zachodnich.

Mówią o tem krzyże przydrożne polne, które widzi się już na całej drodze od Rheda tu i ówdzie, mile przypominające każdemu Polakowi strony rodzinne; mówią o tem stacye męki Pańskiej na milę od Monastyru się rozpoczynające, a w bardzo estetycznych płaskorzeźbach ustawione, wzdłuż ślicznie utrzymanej alei grabowej, po której dążyć muszą do tych stacyj z miasta procesye i pobożni. W samym Monastyrze wiele pięknych kościołów katolickich, bardzo starożytnych i duży tum bardzo piękny, oraz klasztor żeński.

Francuz towarzyszy mi na „wystawę kolonij niemieckich“, urządzoną w ogrodzie zoologicznym miejskim przez oddział Towarzystwa kolonialnego niemieckiego. Jest to czysto niemiecka zabawka, szerszego znaczenia nie mająca.

O godzinie 8 min. 30 z rana jedziemy przez Dülmen i Halterin do odległego o 82 kilometry Wesel nad Renem, zkąd właśnie list ten piszę.

Ponieważ fabryka w Audincourt telegrafowała p. Grodzkiemu, że wysłała pociągiem pośpiesznym w piątek łańcuchy, zapewne do Wesel, będziemy tu na nie czekać, prawdopodobnie do środy.

Chwile oczekiwania na łańcuchy skraca nam „Schützenfest“ miejski tutejszego i okolicznych Towarzystw strzeleckich, który trwać będzie tydzień, ku czemu całe miasto przystrojono we flagi, bramy tryumfalne, tarcze i napisy okolicznościowe.

Echa z wód.

Ojców w lipcu.

Zgasły przedwcześnie Ludwik hr. Krasiński, obok mnóstwa nowych budowli i znakomitych ulepszeń tu zaprowadzonych, postanowił też i rozpoczął odbudowę starożytnych ruin naszego zamczyska

Ojców, jak wiadomo, nazwę swą zawdzięcza właśnie owemu zamkowi „Ociec“, zbudowanemu przez Kazimierza Wielkiego. Miała ona być nadana na pamiątkę tułactwa ojca Kazimierzowego, Władysława Łokietka, który w jaskini, dotychczas Królewską zwanej, zmuszony był tu szukać schronienia przed pościgiem Ulryka Boskowicza, wielkorządcy krakowskiego z ramienia Wacława III króla czeskiego i pana Małopolski (1291 — 1305 r.) Data dokładna tułactwa Łokietkowego w pieczarach ojcowskich nie jest wiadoma. Fakt ów mógł się wydarzyć w latach 1290 — 1292, gdy po śmierci Leszka Czarnego (1288) o księstwo Krakowskie ubiegało się zbrojnie aż pięciu pretendentów: Bolesław mazowiecki, Henryk IV wrocławski, Przemysław II polski, Łokietek sieradzki, oraz Wacław król czeski, jak i w r. 1300, gdy Wacław przedsięwziął wyprawę przeciwko Łokietkowi, w której ten ostatni, wyzuty ze swych posiadłości, zmuszony był szukać schronienia na Węgrzech.

Ojców początkowo miał być dziedzictwem prywatnem rodu, który stąd wziął nazwę Ojcowskich, jednak w XV wieku był starostwem niegrodowem. W r. 1552 posiadał starostwo Ojcowskie Jan Bonar, jak go dokumenty współczesne nazywają „Bonar Hannas Burggraff Zanpauick czu Cracow uf Ocziec und Rapsthyn Hauptmann“, a następnie w ciągu całego wieku XVII ród Toporczyków Korycińskich. Zamek Ojcowski, przez starostów z rodu Korycińskich kosztownie ufortyfikowany (1655 r.), był wzięty i zniszczony przez Szwedów pod wodzą Wirtza, lecz już w r. 1660 był odnowiony.

W XVIII wieku zamek ze starostwem przechodzi w posiadanie Lubieńskich, a następnie Załuskich; wreszcie z upadkiem niepodległości kraju, jak wszystkie starostwa, zostaje własnością skarbu, zrazu austryackiego, potem Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Jeszcze za życia ostatniego starosty z rodu Załuskich, Teofila († 1831) skarb sprzedał starostwo Ojcowskie na własność prywatną K. Wolickiemu, który je odsprzedał Prendowskim, a ci ostatni Aleksandrowi hr. Przeździeckiemu (1859 r.).

Zamek Ojcowski jeszcze w 1811 r., podczas bytności Niemcewicza, znajdował się w dobrym stanie, lecz już w trzynaście lat później, za bytności Klementyny z Tańskich Hofmanowej był zrujnowany, prócz wieży i bramy, tak, że w r. 1829 musiano przystąpić do rozbiórki ruin, z których powstał browar i karczma. Z przejściem Ojcowa w ręce Ludwika hr. Krasińskiego przystąpiono do gruntownej odbudowy zamku, według dochowanego szkicu z końca XV wieku. Wieża główna odbudowuje się z kamienia ciosowego i mieścić ma Muzeum ojcowskie, wykopaliska przedhistoryczne, okazy minerałów, flory i fauny miejscowej, oraz bibliotekę, obejmującą wszelkie dzieła, broszury i artykuły, dotyczące Ojcowa. Mury otaczające dziedziniec i wspaniała brama wjazdowa tymczasowo podtrzymywane są w dawnym stanie.

Studnię, dawniej zasypaną, w głównym dziedzińcu położoną, a na 48 metrów głęboką w skale wykutą, odkopano, oczyszczono i do stanu pierwotnego doprowadzono. Na górze zamkowej urządzono tarasy i ławki do wypoczynku gości i siesty słonecznej chorych.

Przed nabyciem dóbr ojcowskich przez Aleksandra hr. Przeździeckiego (1859 r.) właściciel pobliskiej wsi Jakimowic Lucyan Kowalewski urządził w Ojcowie w budynku wynajętym zakład leczniczy, składający się z 20 pokoi mieszkalnych, sali jadalnej i 4 łazienek. Leczenie, jakie tu w latach 1855—1863 praktykowano bez lekarza. było bardzo cryginalne: chory umieszczony w skrzyni parowej z głową wystającą po nad przykrywą skrzyni, otrzymywał w ciągu pół godziny kąpiel parową + 56° Celsyusza, przyczem para wodna nasycała się częściami lotnemi dziurawca pospolitego (hypericum vulgare) rośliny obficie tu rosnącej, poczem brał kąpiel dżdżystą, a po niejakiem ochłodzeniu kąpiel natryskową promienistą, potem następowało jednogodzinne zapakowanie w suche koce w połączeniu z piciem gorącego odwaru sasaparyli; po obfitem wypoceniu znów natryski zimne. Prócz tego choremu zalecano picie znacznej ilości wody źródlanej.

Łatwo zrozumieć, jak silnie podobnego rodzaju leczenie musiało wpływać na przemianę materyj w organizmie. To też pomimo, że leczenie było wykonywane przez empiryka, taki poważny i sumienny autor, jak dr. Dietl, potwierdza wyniki leczenia w przypadkach arthrisis deformans, porażeń połowicznych, i zaleca je w przypadkach reumatyzmu, zapalenia stawów zniepodobniającego. a niekiedy syfilisu lub porażeń, ostrzegając przed leczeniem w ten sposób chorych na serce, gruźlicę, stwardnienie tętnic, bezkrwistość i wogóle wycieńczenie, domagając się wreszcie wprowadzenia stałego lekarza zakładowego.

Aleksander hr. Przeździecki, nowonabywca starostwa Ojcowskiego (r. 1859—1863) z całem zamiłowaniem oddał się uporządkowaniu i podniesieniu tego uroczego zakątka kraju, „pełnego wzniosłych historycznych pomników, najmilszych widoków i wspaniałych dzieł przyrody“, wedle słów dr. Dietla. Oprócz dawnego zakładu Kowalewskiego powstały tu staraniem właściciela łazienki na Prądniku, kąpiele ciepłe w hotelu „pod Łokietkiem“ i zajazd „Wesele w Ojcowie“. Hr. Przeździecki nadał też nazwy celniejszym skałom od imion ulubionych swych poetów i tytułów ich utworów, nazwy te jednak, jako obce ludowi nie zdołały się utrzymać.

Wypadki r. 1863 zatamowały rozwój zakładów Ojcowskich, gdyż podczas potyczek marcowych t. r. spalono hotel, zakład wodoleczniczy i chaty wieśniacze. Zrażony przeciwnościami, sprzedał w tym samym roku właściciel większą część dóbr żydom pruskim, rezerwując sobie tylko zamek i przyległą część doliny. Nowonabywcy ci rozwinęli po swojemu w lasach górskich, okalających od wieków szerokim pasem dolinę Prądnika, gospodarstwo iście rabunkowe.

Dla dalszych losów Ojcowa niepomierne miały znaczenie wycieczki i badania archeologiczne, rozpoczęte przez Jana Zawiszę w roku 1872-im. Zasłużony ten badacz wydobył na światło dzienne z jaskiń Ojcowskich całe skarby zabytków przedhistorycznych, oraz szczątki nader rzadkie fauny kopalnej. Wyniki tych badań ogłoszone były w *Wiadomościach archeologicznych* warszawskich. Niestety jednak co trudno było przewidzieć, gdy rozgłos owych badań rozszedł się za granicami kraju, zwabił tu w roku 1877 dra Roemera, profesora z Wrocławia. Uczony ten mniej jako geolog, więcej jako chemik i agronom, zwrócił uwagę nietyle na wartość archeologiczną i paleontologiczną wykopalisk, ile na tę okoliczność, że namuliska niektórych jaskiń w skutek wysokiego procentu zawartego w nich kwasu fosforowego i azotu, dają się przerobić na rodzaj guanofosfatu. Owocem wycieczki geologicznej p. Roemera była rozprawa pod tyt. „Ueber die Anwendung des Inhalts der Knochenhoelen zwischen Ojców und Olkusz in Polen als Duengemittel“, a w jej następstwie przybycie tu ze Szlązka spekulanta Grubego, który w latach 1877 i 1878 doszczętnie spustoszył jaskinię Jerzmanowską i Paczołtowską, a zrujnowawszy kilka innych, wywiózł z nich na zmełcie do Niemiec co się tylko wywieść dało, nie oszczędzając najrzadszych okazów paleontologicznych Jednocześnie więc siekiera żydowska trzebiła lasy nasze, gdy łopata niemiecka pustoszyła jaskinie.

Dopiero pod światłym kierunkiem Ludwika hr. Krasińskiego odżyło wszystko i na nowo rozwijać się zaczęło. Tej wiosny zasadzono znów wielkie obszary leśne, a dawniejsze znacznie już podrosły.

W lipcu przybyło tu dużo osób z całemi rodzinami na ferye wakacyjne i skały tutejsze rozbrzmiewają wszędzie wesołemi echami.

Z Syberyi.

Jeden z Polaków bawiących w Syberyi środkowej, zatrudniony przy budowie kolei syberyjskiej, pisze co następuje:

Do obecnej chwili kolej syberyjska doprowadzona do m. Kańska, a nawet dwie stacye dalej, co stanowi z górą 200 wiorst za Krasnojarskiem, a więc do Niżnieudińska; pozostało jeszcze 300 wiorst z górą Pod nazwą „doprowadzona“ rozumieć należy, że są ułożone szyny, po których mogą kursować pociągi. Budynków zaś stacyjnych, telegrafów, budek dróżniczych i t. p., jeszcze nie ma. U nas, t. j. przed i za Niżnieudińskiem w stronę Irkucka, również sporo dokonano robót, tak, że w roku 1898 o tej porze usłyszymy dawno już niesłyszany świst lokomotywy. Do Krasnojarska otwarty jest ruch prawidłowy, do Kańska zaś może dojechać każdy, mający jakąkolwiek styczność z tutejszymi kolejowcami.

Budowa drogi środkowo-syberyjskiej od rzeki Obi do Irkucka jest arcytrudnem dziełem nietylko sztuki inżynierskiej, lecz wytwórczości ludzkiej. O ile łatwą była budowa Zachodnio-syberyjskiej drogi, bo przecina ona wielkie równiny, o tyle Średnio-syberyjska jest trudną. Przecina ona mnóstwo pasm gór, wąwozów, dolin, rzek górskich, które w czasie posuch można przejść pieszo, a które podczas licznych wylewów w ciągu wiosny, lata i jesieni rozlewają na parę wiorst, do tego na całej prawie przestrzeni przechodzi ta droga przez dzikie syberyjskie „tajgi“ (knieje), miejscami spotyka się bezdenne bagna ze zmarzłą, lodową powłoką, która nigdy nie rozmarza. Nieraz, gdy wypada w takiem miejscu postawić mostek, to trzeba sporo się natrudzić, nim się zdecyduje ufundować podstawy na powłoce lodowej. Takie miejsca zdarzają się tu w głębiach lasów, w dolinach, gdzie ziemia na metr pokryta jakby perskim dywanem — mchem. Być może, że po wyrąbaniu olbrzymich lasów, klimat tutejszy się zmieni, a więc nasze budowle mogą być w strachu; na szczęście, nie wiele tego mamy, zawsze bowiem wykręcamy się od „zamków na lodzie“.

Straszna odległość, dzieląca nas od kulturalnych centrów, czyni koszta budowy i trudności wielkiemi nie do opisania. Zupełny brak ludzi, przyzwyczajonych do pracy europejskiej, zmusza nas opierać się tylko na robotnikach sprowadzonych z Europy, co też podnosi koszta roboty, powiększa zapotrzebowanie na produkta spożywcze, wytwarzając w handlu tutejszym jeszcze większe anomalie niż były poprzednio.

Można powiedzieć śmiało, że lud miejscowy żyje kosztem wyzysku swoich braci przybyłych, bo zamiast zwiększać obszary zasiewu, statystyka miejscowa wykazuje ich zmniejszenie.

Większość tubylców puszcza się obecnie na rozmaite afery, najwięcej natury rabunkowej. Gdyby nie regulowanie potrzebnej ilości produktów na rynkach tutejszych przez nas, byłoby wszystkim ciężko. Każdy więc z nas musi mieć przy robotach budowy kolei mnóstwo koni, które się posyła do zachodniej Syberyi łącznie z odpowiedniemi agentami po zakup zboża. Musimy tu prowadzić całkowitą i bardzo oględną gospodarkę, bo w przeciwnym razie, gdy zabraknie chleba, robotnik odchodzi i robota stać musi Tu kompletnie trzeba zrobić wszystko samemu: cegłę, cement, wapno, smołę etc., bo w sprzedaży tego artykułu nie ma, a przewóz bajecznie drogo kosztuje, np według obliczenia zarządu, beczka cementu kosztuje z przewiezieniem w Niżnieudińsku 27 rubli! Dla uniknięcia właśnie tego kosztu postanowiono tu na miejscu zbudować fabrykę cementu. Budowy podjęła się firma warszawska Kamieński i Grossman i rzeczywiście z niezwykłą energią w ciągu roku wybudowała fabrykę zdumiewającej doskonałości technicznej. Rząd dał na budowę fabryki znaczne subsydyum, ziemię bezpłatnie i t. p Fabryka ta mieści się we wsi Kamyszat, w odległości 46-u wiorst od Niżnieudińska.

Koszta budowy rzeczonej fabryki, zamiast projektowanych 450,000 rub., wyniosły 750,000 rub. z górą i wskutek wadliwej, nieumiejętnej administracyi technicznej przez dyrektorów Czechów i innych cudzoziemców, fabryka dotąd nie dała nawet miernego cementu, choć od roku powinna go dawać. Wskutek tego fabryka, mogąca dawać krocie dochodu, upadła do tego stopnia, że spółka zmuszoną była przyjąć do siebie akcyonaryuszów holenderskich.

Wogóle życie na Syberyi jest ciężkie, cóż-bo po jej przyrodzonych bogactwach, kiedy z nich tymczasem nikt nie korzysta. Brak tu umiejętnej siły wytwórczej — eksploatacyjnej.

W Niżnieudińsku można co prawda dostać w sklepie szampana, likierów, koniaków, lecz kawałka dobrego mięsa, ba! nawet chleba i bułki, to ze świecą w ręku w dzień biały nie znajdzie. Ile potrzeba znosić braków, mieszkając w kraju, gdzie taka obfitość produktów surowych, nikt nie da wiary. Na wiosnę z Mongolii przypędzają tu ogromne stada bydła, więc wiosną i latem mamy mięso znośne, lecz tylko znośne, bo dla braku umiejętności w segregowaniu i konserwowaniu mięso to jest marne, w zimie zaś nigdy nie ma świeżego, lecz zmarznięte, suche, bo w ciągu zimy bydła nie biją Mąka i inne produkta są najlichszych gatunków. Wszystko, co nie ma zbytu w Europie, na jarmarku w Niżnym Nowogrodzie sprzedawane bywa do Syberyi. Dużo potrzebaby było zająć miejsca, gdyby chciało się dokładnie opisywać oszustwa, spełniane w handlach tutejszych. Przychodzi się np. do sklepu i obstalowywa potrzebny przedmiot, płaci się tyle, ile zażądają, pomijając, że ceny o jakie 5—10 razy przechodzą rzeczywistą wartość i otrzymuje się przedmiot, który nieraz za okno wyrzucić trzeba.

Celem uniknięcia podobnych kolizyi, często sprowadzamy z Warszawy najniezbędniejsze przedmioty, choć to bajecznie drogo kosztuje, ale ma się pewność, że falsyfikatu lub czegoś nieużytecznego się nie otrzyma. To, o czem wspomniałem, odnosi się do środkowej Syberyi, t. j. miejsca naszego zamieszkania; w zachodniej Syberyi, przez którą przepływają rzeki, łączące się z basenami rzek europejskich, daleko jest lepiej i życie podobniejsze do życia Europejczyka.

Życie towarzyskie w szerszych zakresach mało jest tu rozwinięte. Mieszkańcy miejscowi bardzo nieprzychylnie na nas patrzą; złośliwi tłómaczą to zazdrością, jaką wzbudzamy w nich swojemi przodującemi pozycyami i niezależnością. O ile możemy, uprzyjemniamy sobie chwile czytaniem pism, które dostajemy z kraju, ale nieznośna aura tutejsza płata nam figle. Burzliwe, niespokojne rzeki często przerywają wszelką komunikacyę, a wówczas ani listów, ani gazet całemi miesiącami nie otrzymujemy. Mróz dochodził tej zimy do 45°. Takie to miłe stosunki w tej okolicy, która ma wkrótce połączyć się z Europą.

Z izby sądowej.

Brzeżany 27 lipca

(*Antysemici chodorowscy.*)

Wczoraj po południu przesłuchano jeszcze 12 oskarżonych.

Oskarżony Michał Lubrawacki twierdzi, że żydzi dlatego go obwinają, że u jego ojca mieszkali robotnicy kolejowi, więc przemawia przez nich złość. Oskarżony przyznaje, że wraz z innymi był w domu Eidli Joles i zabrał jej masła kawałek. Nie miał jednak zamiaru kraść aby się zbogacić i chętnie zapłaci, ile Eidla zażąda.

Oskarżonemu Franciszkowi Dutkiewiczowi opowiadano, że robotnicy wpadli do baraku Liebermana w Dolinianach, gdzie jadali obiad zwykle i zabrali sobie sami jadło, bo Lieberman ze sklepiku uciekł. U szynkarza Akselrada, który skarży się, że utracił dużo wódki z powodu napadu robotników, nikt wódki nie rabował — jak ten oskarżony podaje — ale wszyscy, jak zwykle, brali wódkę na kredyt.

Osk. Józef Kocyra podaje, że nazajutrz po awanturach przyszedł wraz z Dutkiewiczem do Liebermana. Gospodarza zastępywał jego pomocnik. Rzekł on, że Lieberman pozwala na zabieranie wszystkiego, co tylko robotnicy zechcą, byle tylko zachowywali się spokojnie. Dutkiewicz więc wziął sobie marynarkę i parę spodni, ale nie w charakterze grabieży, tylko na kredyt.

Osk. Walenty Cacała zeznaje, że robotnicy potłukli u Liebermana naczynie, a przybywszy do Równi zastali tam już spustoszenie.

Dziś przed południem ukończono przesłuchanie oskarżonych. Oprócz zeznań właśnie podanych, nie poczynili oni żadnych nowych; przeważnie wypierają się, jakoby brali udział w wyrządzaniu szkód.

Przesłuchano także poszkodowanych, których zastępuje dr. Sokal ze Lwowa.

Po południu zeznawali świadkowie dowodowi. Wskutek informacyi odnośnych, prokurator rozszerzył akt oskarżenia przeciw trzem oskarżonym.

* * *

Tarnów 26 lipca.

(*Wybory w Tarnowie*).

Sąd tutejszy rozpatrywał skargę prokuratoryi państwa przeciw dwom braciom Kolarzykom, pachołkom miejskim, oskarżonym o pobicie i obrazę czci asesora miejskiego Artura Szancera i prezesa kahału Józefa Maszlera oraz o gwałt publiczny. Oskarżeni mieli w dniu wyboru posła do Rady państwa z miasta Tarnowa utrzymywać przed ratuszem porządek i czuwać nad bezpieczeństwem wyborców, za co mieli otrzymać stosowne wynagrodzenie. Dnia 19 marca wieczorem przyszli więc po pieniądze do pomieszkania p. Szancera gdyż tam odbywały się wypłaty zarobników dziennych. Przy obrachunku pobili asesora i prezesa kahału, a gdy policyanci i żandarmi chcieli Kolarzyków aresztować, mocno pijani pachołkowie stawili władzy opór.

W toku rozprawy okazało się, że asesor Szancer sam sprowokował awanturę, trybunał przeto uwolnił podsądnych od zarzuconych im zbrodni.

* * *

Filipopol 26 lipca.

(*Mordercy Anny Simon*).

Z przesłuchań sobotnich i poniedziałkowych jest do zanotowania kilka zajmujących epizodów. Najważniejszym z nich było przesłuchanie ojca Anny, które trwało przeszło godzinę. Wzięto go w taki krzyżowy ogień pytań, że wyglądało to, jakby on był oskarżonym. Obrońca Bojczewa Popow chciał dowieść koniecznie, że Anna Simon prowadziła życie niemoralne. Przeszło trzy kwadranse trwały jego pytania i odpowiedzi na nie, dotyczące rodzaju prowadzenia się Anny. Reszta obrońców zajęła wobec niego nieprzyjazne stanowisko i wszyscy starali się przerywać mu jego zimno zjadliwe pytania, ale przewodniczący każdym razem zmuszał ich do milczenia. Po jednem takiem przerwaniu krzyknął Popow: „Ja muszę udowodnić, że Anna była ulicznicą!“ Oburzony zastępca prawny córki Anny, dr. Genadiew zawołał na to: „Zamordowaliście ją, uszanujcie przynajmniej jej pamięć!“ Podczas tego zajścia demonstrowała publiczność pukaniem nogami w podłogę, ale nie wiadomo na czyją korzyść.

Charakterystycznem jest to, że nie dopuszczono do konfrontacyi ojca Anny z Bojczewem. Podczas przesłuchiwania tego świadka nie zwrócono się do Bojczewa ani z jednem pytaniem. Nie zapytano go nawet, czy zna tego człowieka. Nie stracił on też panowania nad sobą, kiedy Simon opowiadał o liście Bojczewa do niego pisanym, w którym było takie zdanie: „Nie jestem żadnym łajdakiem i dotrzymuję przyrzeczenia; jak długo żyć będę, nie zaznam innej żony jak Anna“.

Zajmującymi były też zeznania małżonków Kanazierskich. Za czasów tureckich siedział Kanazierski w więzieniu. Wojna otworzyła mu wrota wolności, a po odejściu Moskali z kraju, został prefektem policyi w Ruszczuku i w Warnie. Na tych posterunkach dorobił się majątku. Dziś państwo Kanaziersey są zamożnymi ludźmi i w ich kamienicy mieszkają Bojczewowie. W śledztwie już zeznali oboje Kanaziersey, że Bojczew we czwartek wieczorem, t. j. w dzień po spełnieniu morderstwa był u nich. Wówczas miał Bojczew jeszcze zamiar alibi swoje ze środy wieczorem udowodnić pobytem na kolacyi u księcia. Ponieważ jednak rozprawa uniemożliwiła ten zamiar, więc zeznali oboje państwo Kanaziersey pod przysięgą, że Bojczew w ową fatalną środę był u nich wieczorem. Po wypowiedzeniu tego zeznania s p l u n ę ł a pani Kanazierska. Zwrócił na to natychmiast uwagę dr. Genadiew, gdyż według pojęć miejscowych wystarczy splunąć, ażeby się uchronić od skutków krzywoprzysięstwa. Pomimo, że niewiarygodność tej pary małżonków znaną jest już od dawna, i że i teraz nikt nie wierzy w to, co zeznali, przewodniczący traktował ich ze specyalnem uszanowaniem i nie dopuścił wielu pytań, które im chciano zadawać.

Zeznanie ich, będące pierwszem dla Bojczewa korzystnem zeznaniem, byłoby czemś w rodzaju alibi Przeciwko temu jednak twierdzeniu zażądano przesłuchania syna Kanazierskiego, porucznika w czynnej służbie, który chciał udowodnić, że w dniu mordu Bojczew przyszedł do domu dopiero o północy. Zeznanie to młodego Kanazierskiego obaliłoby twierdzenie jego rodziców, tem bardziej, że świadek był u rodziców na kolacyi owego wieczora Trybunał jednak wśród wielkiego poruszenia w audytoryum, niedopuścił do przesłuchania tego świadka, opierając się na tem, że procedura karna bułgarska nie dopuszcza dodatkowego wzywania świadków. Z tego samego powodu odrzucił trybunał wniosek przesłuchania służącej Kanazierskich i innego porucznika, któremu młody Kanazierski opowiadał, że krytycznego wieczora Bojczew przyszedł o dwunastej do domu.

Nie pozwolił też trybunał odczytać listów, które Bojczew pisał z więzienia do wysoko położonych osób. Między tymi listami miał się znajdować i list pisany do księżnej.

Awradaliew, tajny urzędnik pałacowy, figura, której najbardziej obawiają się w Bułgaryi, cieszył się też ogromnem uszanowaniem ze strony przewodniczącego Awradaliew przeczy temu, co o nim zeznał jeden z żandarmów, mianowicie, że on miał Annę przed pałacem targać za włosy. Owszem twierdzi, że się z nią obszedł bardzo łagodnie. Zeznaje też, że uczty w pałacu trwały często do jedenastej w nocy, ale w owym tygodniu kończyły się zawsze o dziewiątej wieczorem. Szczegółowych pytań nie pozwolił mu przewodniczący zadawać.

Z reszty zeznań zajmującymi są jeszcze zeznania urzędnika Plazotty, który na żądanie Nowelicza dwukrotnie telegrafował do ojca swego do Wiednia, prosząc go, aby wysłał z Wiednia do Filipopola telegram podpisany przez Annę Simon, a żądający odsyłania z Wie-

dnia poste restante listów do niej adresowanych do Filipopola.

Po za tymi szczegółami w sobotniej i poniedziałkowej rozprawie nie było nic zajmującego. Proces mimo tak długiego trwania nie przestał interesować publiczności, sala jest nabitą ludźmi, którzy przy każdej sposobności dają wyraz swojemu zajęciu szczegółami procesu. Z początku spodziewano się, że rozprawa skończy się w sobotę. Tymczasem, jak dotychczas można przypuszczać, wyrok nastąpi najprędzej jutro, tj. we wtorek wieczorem.

Co do opinii, jaka wyrobiła się tutaj o całej sprawie, to panuje tu ogólnie przekonanie, że ze strony sfer panujących czynione są wszelkie usiłowania, ażeby Bojczewa uratować od zasądzenia go winnym.

KRONIKA.

Lwów 28 lipca.

Odznaczenie. Cesarz nadał Janowi Dumańskiemu, kanceliście sądowemu w Kossowie przy sposobności przeniesienia go w stan spoczynku złoty krzyż zasługi.

Przeniesienia. Kontrolor pocztowy Orest Mechowicz przeniesiony z Podwołoczysk do Lwowa, a asystent Franciszek Piesch ze Lwowa do Podwołoczysk.

Celem uczczenia pamięci Teofila Wiśniowskiego uchwalono wczoraj na posiedzeniu delegatów Rady miejskiej nazwać ulicę Pielowskich ulicą Teofila Wiśniowskiego, złożyć imieniem Reprezentacyi miasta Lwowa u stóp pomnika na wzgórzu Kleparowskiem żelazny wieniec cierniowy i utworzyć stypendyum w kwocie 100 złr. rocznie dla młodzieży rzemieślniczej.

Izba adwokatów w Krakowie orzekła, że posłowi drowi Winkowskiemu, który jest zarazem kandydatem adwokackim, czas spędzony w Wiedniu podczas obrad parlamentarnych nie może być wliczony do wymaganej ordynacyą adwokacką siedmioletniej praktyki, którą każdy kandydat ma odbyć, zanim otworzy własną kancelaryę. W motywach orzeczenia podnosi izba adwokacka, że skoro Dr. Winkowski przebywa w Wiedniu i zajmuje się pracami poselskiemi, przeto nie wykonuje czynności swego zawodu, nie można zatem czasu spędzonego na takich innych czynnościach wliczyć mu do praktyki adwokackiej. Przeciw temu orzeczeniu zgłosił Dr. Winkowski odwołanie do wyższego Sądu.

W sprawie wiecu cieszyńskiego odbyło się wczoraj w ratuszu zgromadzenie, zwołane przez komitet stronnictwa ludowego. Zgromadzenie przyjęło następujące rezolucye: 1) należy odnieść się do rządu ze stanowczem wezwaniem, aby przeprowadził jasny i niedwuznaczny artykuł XIX ustaw zasadniczych z 21 grudnia 1867, gwarantujący swobodę, poszanowanie i nienaruszalność praw wszystkich prowincyi państwa pod względem narodowym i zezwalający na utrzymywanie szkół potrzebnych każdej narodowości w odpowiednim stosunku; 2) należy domagać się stanowczo od rządu, żeby już od roku 1897-98 nadał polskiemu gimnazyum w Cieszynie prawo publiczności, a następnie, aby gimnazyum to przyjął na etat państwowy; 3) udać się do wpływowego obywatelstwa o poparcie powyższych postulatów; 4 zgromadzenie wyraża przekonanie, że wszyscy posłowie polscy do Rady państwa w ogólności, a posłowie z miasta Lwowa w szczególności powinni służyć objaśnieniami a w danym razie i radą na wiecu cieszyńskim. — Prezydyum zgromadzenia zajmie się ułożeniem odpowiedniej petycyi do rządu, oraz wybierze delegatów na wiec cieszyński, albowiem zgromadzenie osób niezwiązanych w stowarzyszenie nie ma do wyboru delegatów kompetencyi.

Budowę gmachu muzeum przemysłowego we Lwowie powierzono pp. Janowskiemu i Marconiemu. Jak wiadomo, nadesłali na odnośny konkurs swe projekta: pp. Bisanz, Zawiejski i trzeci konkurent, mianowicie spółka: Janowski i Marconi. Z tych projektów najpiękniejszą i najartystyczniejszą fasadę miał plan przedłożony przez pp. Janowskiego i Marconiego. Z tego względu oddano budowę gmachu p. Janowskiemu, jako architekcie w spółce Janowski-Marconi, gdyż p. Marconi jest rzeźbiarzem. Decyzya Kasy oszczędności powinna spotkać się z uznaniem opinii publicznej, bo z jednej strony p. Janowski daje gwarancyę doskonałego technicznego wykonania, a z drugiej strony projekt p. Marconiego daje pewność, że gmach będzie istotną ozdobą Lwowa.

Spotkanie po 20 latach. Temu kilka dni peron głównego dworca lwowskiego był świadkiem następującej sceny: P. Dziurdziuliński po 20-letniem rozstaniu się ze żoną, pogodziwszy się z nią listownie, oczekiwał niewątpliwie jej przybycia, z bijącem sercem, z tęsknotą, obudzoną wspomnieniami przeszłości. Równie niecierpliwie liczyła żona, pędząca kuryerem do Lwowa, minuty, kiedy już będzie u celu swej podróży. Wreszcie pociąg stanął. Ruch zrobił się na peronie. Mąż poskoczył ku wagonom. Nie długo szukał w tłumie pasażerów; naprzeciw niego szła ona, ukochana: Te same śliczne, czarne włosy, zgrabna figurka, szafirowe oczy. Z okrzykiem: „Złota Fipciu" z niekłamaną radością rzucił się ku niej, ale rzekoma „Fipcia" zrobiła bardzo zdziwioną minę. Zbity więc z tropu ukłonił się niezgrabnie mąż i zapytał: „Czy mam przyjemność mówić z panią Dziurdziulińską". Na to śliczna brunetka zaśmiała się serdecznie i wskazując na nieco dalej stojącą, otyłą i szpakowatą matronę, rzekła: „Panią Dziurdziulińską poznałam w coupé i oto ona". Można sobie wyobrazić konsternacyę p. Dziurdziulińskiego.

Uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod szkołę polską w Białej odbyła się wczoraj. Po solennem nabożeństwie w kościele farnym celebrowanem przez ks. Hamerlaka, poświęcił ks. prałat Temple kamień węgielny. Akt fundacyjny odczytał ks. rektor Chromecki, poczem imieniem Towarzystwa szkoły ludowej przemówił dr. Ernest Bandrowski z Krakowa, zaś imieniem krakowskiego koła pań panna Marya Siedlecka. W uroczystości brała udział licznie zebrana publiczność.

Przeniesienie biur lwowskiego sądu. Po wykończeniu, w jesieni br., wewnętrznego urządzenia nowego gmachu sądowego przy ul. Batorego, przeniesiony będzie do tego gmachu: sąd wyższy i miejski sąd delegowany sekcyi III. Sąd kraj. cywilny i sądy delegowane miejskie sekcyi I i II pozostaną w zajmowanych przez siebie obecnie lokalach aż do czasu, gdy na pomieszczenie więźniów w „Brygidkach" wybudowany będzie nowy gmach w Hołosku, lub Zamarstynowie. Po wybudowaniu tego nowego gmachu, którego koszta preliminowano na 420.000 złr., biura te przeniesione będą do „Brygidek", a natomiast lokal zajmowany obecnie przez sąd przy ul. Kazimierzowskiej, koło św. Anny, oddany będzie właścicielowi do dyspozycyi.

Kurator warszawskiego okręgu naukowego, p. Ligin, który w kilku tygodniach urzędowania, na stanowisku, zajmowanem do niedawna przez Apuchtina, zdobył sobie wielką przychylność Polaków — jak się dowiadujemy z Odessy — ma się znacznie lepiej. Neurastenia, która wywołała u p. Ligina dotkliwe osłabienie wzroku, wskutek kuracyi hydropatycznej uśmierzyła się, a wzrok nabrał znów więcej mocy. Polepszenie jest ciągłe i tak szczęśliwe, iż są wszelkie nadzieje, że p. Ligin z końcem sierpnia, kiedy to upływa urlop jego, będzie już zupełnie zdrów i powróci do Warszawy na swój posterunek. Obawy więc, że warszawski okręg naukowy utraci tego dzielnego człowieka, okazują się płonnemi.

Z politechniki. Drugi egzamin państwowy (zawodowy) na wydziale budowy maszyn, zdali pp: Józef Łużecki rodem z Proskurowa (Rosya), Leon Mroczkowski z Krakowa, Józef Chudzikiewicz ze Lwowa, Bogusław Gryglewski z Rossoszan (Rosya), Adolf Hauser ze Lwowa, Jan Kopystyński z Nowosiółek gościnnych, Jan Kwiatowski, oficyał pocztowy, rodem z Drohobycza, K. Rudolphi z Krzeszowic.

Sprostowanie. Otrzymujemy następujące pismo: Wiadomość podana w dzisiejszym nrze 269 szanownego pisma, jakobym wniósł podanie o przeniesienie mnie w stan spoczynku, pozbawioną jest wszelkiej podstawy, gdyż nie mam bynajmniej zamiaru usunięcia się od czynnej służby.

Cezar Gérard-Festenburg,

ck. radzca rządu i dyrektor kolei państwowej.

Święcenie niedzieli. W Krakowie 19 firm kupieckich oznajmiło publicznie, iż od dnia 1 sierpnia zobowiązują się w celu uszanowania III przykazania Bożego, wcale nie otwierać w niedziele i święta swoich sklepów.

Anegdota o Sullivanie. Angielski kompozytor, sir Artur Sullivan otrzymał pewnego razu pochlebne uznanie za muzykę do „Mikada". Operetka ta wówczas była jeszcze nowością. Naraz kompozytorowi przyszła myśl przysłuchać się swej muzyce z galeryi. Po chwili siedział już na „paradyzie", mrucząc cicho za śpiewakami i orkiestrą melodye. Raptem siedzący obok autora jegomość odzywa się zirytowany: „Proszę mi łaskawie wybaczyć, ale ja tu przyszedłem słuchać cudownej opery Sullivana, a nie pańskiego mruczenia".

Oberwanie chmury. Z Nadwórny nam donoszą, że w dniu 24 b. m. przeciągnęła tam burza równająca się gwałtownością owej, jaka 27 czerwca nawiedziła Kołomyję. Przez trzy kwandranse padał deszcz tak obfity, że po bruzdach polnych potworzyły się formalne rzeki, które zupełnie plony zamuliły. Co wyżej położone ocalało przed wodą, to wybił grad wielkości orzechów laskowych, który grubą warstwą pokrył ziemię

Klęska dotknęła najbardziej wieś Mołotków, gdzie literalnie wszystko zostało zniszczone. Na polach zasłanych zbożem gdzie niegdzie kołysze się jakieś złamane źdźbło, rośliny strączkowe połamane, kartofle wtłoczone w ziemię, sianożęcia kompletnie zamulone. Lud miejscowy zrozpaczony obchodzi pola płacząc nad swoją dolą.

Wycieczkę do Brzuchowic urządza w dniu 1 sierpnia „Koło męskie" Tow. szkoły ludowej. Program festynu połączonego z loteryą fantową jest bardzo urozmaicony. Datki w gotówce i naturaliach na bufet przyjmuje przewodnicząca komitetu pani wiceprezydentowa Michalska, zaś fanty komitet lwowski urzędujący od 6—7 wieczorem w domu przy placu Bernardyńskim l. 12 II p.

Ratusz lwowski po odczyszczeniu i pomalowaniu głównego wejścia, schodów i korytarzy I. piętra, po położeniu ładnej, kamiennej posadzki na I. piętrze, po umieszczeniu nowych drzwi z wspaniałemi zwierciadlanemi szybami, na których wygrawirowano rozmaite napisy: — sprawia na wstępie bardzo dobre wrażenie. Nawet na zaprószonych dotąd boginiach, czy muzach, stojących na schody, znać dziesięcio-milionową pożyczkę, bo je wyzłocono.

Hr. Szuwałow, mieszkający obecnie w majątku swoim Wartemiaki pod Petersburgiem, odzyskał już zdrowie zupełnie; widoczne są zaledwo jeszcze ślady ciężkiej choroby, którą przeszedł niedawno. W majątku hr. Szuwałowa, jak donosi *Pet. Gaz.*, przygotowują się obecnie na wizytę cesarza Wilhelma, który podobno ma odwiedzić hrabiego przy okazyi manewrów pod Petersburgiem.

Burza straszna srożyła się w dniu 22 b. m. w powiecie liskim. Połamała w tamtejszych lasach tysiące starych drzew, tak liściastych, jak szpilkowych, lub powyrywała z korzeniami. Grad, który spadł równocześnie, wybił w polach ziemiopłody, a w lasach cały tegoroczny przyrost. Najbardziej zostały dotknięte gminy Kołonice i Jabłonki. We dworze w Jabłonkach wybił grad 108 szyb.

Burza z piorunami nawiedziła 23 b. m. miasteczko Jasienice w powiecie brzozowskim. W okolicy poczyniła ulewa znaczne szkody. Piorun zapalił i dom mieszkalny i stodołę włościanina Antoniego Krupy.

W Czerniowcach z początkiem roku szkolnego 1896.97 zapisało się do wyższego gimnazyum 799 studentów, a przy końcu roku pozostało 731, a mianowicie: 527 z Bukowiny, 110 z Galicyi, 30 z innych prowincyi austryackich, 34 z Rumunii, a 6 z Niemiec, Turcyi i Rosyi. Podług wyznań było: 128 rzymsko-katolików, 43 greko-katolików, 10 ormiano-katolików, 116 prawosławnych Wołochów, 44 prawosławnych Rusinów, 1 ormiano-prawosławny, 29 protestantów a 339 żydów. Podług narodowości było: 73 Polaków, 82 Rusinów, 115 Wołochów, 5 Czechów, a 431 Niemców. Jako nadobowiązkowych przedmiotów 157 uczniów słuchało języka wołoskiego, 88 ruskiego, a 83 polskiego.

Nieco o kartach do gry. Może nikt się nawet nie zastanawiał nad tem, gdzie i ile wyrabia się kart do gry, chociaż i ten produkt dostarcza ludziom chleba a rządowi podatku stemplowego. Wykazy urzędowe pouczają nas, że w Austryi znajduje się 19 zakładów, w których się karty wyrabia; razem zatrudniają one 238 funkcyonaryuszy, 25 drukarzy i 17 malarzy, co prawda, nie artystów. W roku ubiegłym fabryki te sporządziły 1,718.260 talii kart, które w Cislitawii mają 8533 miejsc zbytu, a także wędrują do Ameryki, do Belgii, Bośnii, Bułgaryi, Czarnogórza, Serbii i Turcyi. Zagranica zapotrzebowała w r. 1896 przeszło połowę, bo 931.720 talii. Do Austryi natomiast z zagranicy importowano 2985 talii. Najwięcej wyrabia się kart t. zw. „niemieckich", a następnie tarokowych, najmniej zaś wistowych i piketowych. Stempel karciany przyniósł w r. z. skarbowi 344.914 zł. 20 ct.

Pomniki ze szkła proponuje stawiać pewien pomysłowy Amerykanin, nazwiskiem William Hammond z St. Louis. Myśl nie jest taka niedorzeczna, jakby się na pozór zdawać mogło, bo dobre szkło jest wytrzymalsze na zmiany atmosferyczne, niż najlepszy marmur, granit lub piaskowiec.

Wiek Sfinksa. Na ostatniem posiedzeniu berlińskiej akademii nauk znany egiptolog, prof. Erman, odczytał rozprawę budowniczego Ludwika Borhardta, mającą na celu określenie czasu, w którym wzniesiony został słynny sfinks w Gizeh. Zdaniem autora rozprawy, sfinks wzniesiony został w czasach t. zw. państwa środkowego, a więc na 2000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Pierwotnie między przedniemi łapami sfinksa stał posąg bóstwa.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano + 17, w poł. + 23 R., Bar. 759. Spada. Pogoda.

W biurze.

— Wszyscy wielcy ludzie bazgrali.

— W takim razie mam nadzieję, że pan do śmierci będziesz pisał ładnie i wyraźnie.

Przyszły ortopedysta. Profesor demonstruje pacyenta i wykłada studentom na lekcyi klinicznej:

— Oto widzicie moi panowie, że pacyent nasz ma prawą nogę nieco krótszą, skutkiem czego kuleje (zwracając się do najbliższego studenta). Cóżbyś pan w takim razie czynił?

— Ja, ja, panie profesorze? Ja.. także bym kulał...

Korespondencya Administracyi *W. Pan Al. Najkowski w Łańcucie.* Na *Mody paryskie* prosimy posłać prenumeratę w kwocie 90 ct. kwartalnie ul. Łyczakowska l. 27 Lwów, na *Echo* do naszej administracyi kwartalnie 2 złr. 16 ct.

LITERATURA I SZTUKA.

* **Władysław St. Reymont.** „Fermenty". Powieść w dwóch tomach. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1897.

Praca ta stanowi niejako część drugą poprzednio napisanej powieści „Komedyantka" i jest z nią tak ściśle związaną, że nawet trudno ją zrozumieć nie przeczytawszy pierwszej. Bohaterką obu powieści jest Janka Orłowska, córka naczelnika stacyi kolejowej w Bukowcu. Wcześnie osierocona zgonem matki, spędziła lat kilka na wychowaniu w klasztorze, skąd tylko na czas wakacyi przyjeżdżała do domu. Janka, to natura harda, dumna, nieugięta, a przytem żądna wrażeń. Ojciec kocha ją serdecznie, ale to rodzicielskie uczucie tak głęboko ukryte jest pod powłoką sztywności i dziwactwa, że tak córka, jak i czytelnik nieustannie posądzać go musi o zupełny brak serca. Po powrocie Janki na stały pobyt do rodzicielskiego domu, przychodziło często do starć ostrych i groźnych między córką a ojcem. Ukojenia po takich burzach domowych szukała Janka zwykle na łonie natury, w lesie, który Bukowiec dokoła otaczał. Znała ona w nim każde drzewo, każdy krzew, — a szumy jego rozumiała jakby ludzką mowę; kochała go też gorąco swojem dziwnem sercem. W zapadłym Bukowcu gość był zjawiskiem rzadkiem, a w dodatku ci, którzy się w nim czasem zjawili, nudzili Jankę. Z nudy zabrała się do czytania. Po przestudyowaniu Szekspira, zrodziło się w jej duszy gorące pragnienie odtwarzania tych wspaniałych postaci na scenie, pragnienie zostania aktorką. Nęcił ją teatr niezmiernie i z tego powodu, że wyobrażała go sobie jako skarbnicę olbrzymich, dodatnich wrażeń. Marzenia swoje ukrywała w najgłębszym zakątku serca, gdyż nie odważyłaby się nigdy wypowiedzieć ich przed ojcem. Przypadek jej dopomógł. Oświadczył się o jej rękę syn dorobkiewicza, Grzesikiewicz, człowiek młody, inteligentny i szlachetny, którego jednak Janka mimo jego zalet nie kochała. Orłowski stary życzył sobie niezmiernie tego związku, gdyż w prawym charakterze Grzesikiewicza widział rękojmię szczęścia swojego jedynego dziecka. Odmowna odpowiedź jej wzburzyła go tak bardzo, że głosem podniesionym, stanowczym, rzucił jej straszne słowa: „Precz z mojego domu!" Słowa despotycznego ojca padły na hardą naturę dziecka i spowodowały natychmiastowy wyjazd. Janka udała się do Warszawy i tam przystała do trupy Cabińskiego, dającej występy w jednym z ogródków. W tym świecie aktorskim, zupełnie jej dotychczas nieznanym, przeżyła tylko kilka miesięcy, które były najsmutniejszym obrazem boleści, cierpień i szamotań z losem. Ostatecznie uwiedziona przez człowieka, który umiał ją zjednać sobie pozornem zamiłowaniem sztuki, ratuje się przed nędzą i hańbą samobójstwem.

Na tem kończy się część pierwsza całości, mianowicie powieść „Komedyantka". Żal każdemu czytelnikowi tego prawego charakteru, tych porywów do czegoś wielkiego a nieznanego, tego młodego życia, na przerwanie którego wpłynęło niedoświadczenie i obawa przed srogością ojca. To też z radością wita się w „Fermentach" wieść, że Janka żyje. Uratowano ją i wraca powoli do zdrowia w domu ojcowskim. Z razu czuje pewne zadowolenie z tego, że żyje, że może się poruszać, czuć i myśleć. Ale kiedy po odzyskaniu zdrowia wróciła jej świadomość ostatnich chwil w domu (przed wyjazdem do Warszawy) przebytych, kiedy wspomniała te straszne słowa „Precz z mojego domu!", odżyły dawne bole i żal do ojca, choć już teraz wie, jak bardzo on ją kocha. Dowiedziała się o tem nie wprost od skrytego i dumnego Orłowskiego lecz przypadkiem. Orłowski od dłuższego czasu pełnił w Bukowcu służbę naczelnika stacyi a zarazem ekspedytora z pedantyzmem, który z biegiem czasu przeszedł w kompletne maniactwo. Orłowski jako naczelnik beształ często Orłowskiego ekspedytora, jeżeli ten zawinił; a Orłowski ekspedytor uniewinniał się przed Orłowskim naczelnikiem jak mógł i umiał. Był to rzadki w psychologii przykład rozdwojenia osobistości. Kiedy Jankę umierającą przywieziono do Bukowca, tak był Orłowski zdenerwowany, pełniąc służbę ekspedytora, że niegrzecznie obszedł się z jakimś żydem. Gdy się już uspokoił, natychmiast jako naczelnik wniósł skargę na ekspedytora, którego dyrekcya, żartująca z jego nieszkodliwych dziwactw, skazała na 3 ruble kary. Wtedy Orłowski ekspedytor począł się usprawiedliwiać przed Orłowskim naczelnikiem: „Żydzi się tłoczyli, krzyczeli; uderzyłem jednego. Prawda... Podnieśli krzyk, kazałem ich wyrzucić; prawda... Ale niech pan naczelnik pamięta, że wtedy córka była śmiertelnie chora; że ją co dopiero przywiozłem z Warszawy, że byłem bardzo nieszczęśliwy... Panie naczelniku! A gdyby tak panu jedyna córka odjechała z domu, poszła do teatru, nie pisała przez kilka miesięcy!... gdyby tak pana, ojca, rzuciła jak stary łach, i gdybyś pan to dziecko tak kochał jak ja kocham, i gdyby ci potem zachorowała śmiertelnie... czy miałbyś przytomność, czy miałbyś po za tem jaką służbę?... O, co ja wycierpiałem! co ja przeszedłem!" A kiedy to mówił, taki ból skręcał mu serce, że chwilami tracił przytomność; chwytał się poręczy krzeseł, składał błagalnie ręce i szeptał niedosłyszalne bolesne skargi, albo cicho, z ogromną pokorą wpatrywał się w urojoną postać naczelnika, w to swoje drugie „ja".

Janka, która to wszystko z drugiego pokoju widziała i słyszała, zrozumiała jasno dwie rzeczy: miłość ogromną, jaką ojciec dla niej żywił i szybkim krokiem zbliżający się zupełny obłęd jego umysłu. Postanowiła w tej chwili żyć dla niego tylko i wynagrodzić mu wszystko, co z jej przyczyny wycierpiał. Ale na nieszczęście spotkała się po pewnym czasie w Kielcach z dawną swoją trupą ogródkową. Ogarnęły ją dawne porywy i zachwyty dla sztuki i postanowiła wyjechać do Warszawy. Bała się tylko burzliwego przejścia z ojcem. On jednak projekt jej przyjął napozór zupełnie spokojnie. Zaczął znosić jej pieniądze jakie tylko miał, utrzymując, że jemu są zupełnie niepotrzebne, bo on się zaraz położy i umrze... Przy tych słowach runął na ziemię. Kiedy go Janka otrzeźwiła, zachęcał ją łagodnie do wyjazdu, skoro w tem widzi swe szczęście, ale z oczu płynęły mu łzy strumieniami. Cała ta scena wzruszyła Jankę do głębi. Zwalczyła wszystkie swoje pragnienia, zmogła się sama w sobie i stanowczo oznajmiła, że już nie wyjedzie. Aby go jeszcze więcej ucieszyć, zgodziła się zostać żoną Grzesikiewicza. Kiedy ten, uszczęśliwiony jej zezwoleniem, zaczął częściej bywać, chciała go Janka zaznajomić ze swoją smutną przeszłością, ale Grzesikiewicz słuchać jej nie chciał. „Życie nasze nie będzie miało wczoraj, zaczyna się dzisiaj i będzie jutrem". Po ślubie wyjechali do Włoch, a później osiedli w majątku Grzesikiewicza, przy jego rodzicach.

Teraz Janka zaczęła na nowo odczuwać całą swoją niedolę. Znalazła się otoczona ludźmi prostymi, których nawyknienia i wyobrażenia raziły ją. Stary Grzesikiewicz nigdy nie mówił o sobie inaczej tylko „Jaśnie Piotr dziedzic", Grzesikiewiczowa nazywała syna swoim „kochanym parobkiem". To wszystko stawało się dla Janki nieznośnem. Między nią a rodzicami męża przychodziło często do starć i sprzeczek. Na dobitek nie kochała męża. Kiedy najbardziej odczuwała brak serca, któreby ją w zupełności rozumiało, zbliżył się do niej Witowski sąsiad i przyjaciel męża. Dla szlachetnej Janki jeszcze jedna walka z sobą samą, z której wyszła zwycięzko. Wyjazd Witowskiego za granicę, a więcej jeszcze przyjście na świat synka uspokoiły Jankę i jej artystyczną, chciwą wrażeń naturę przyprowadziły do równowagi. Malec wypełnił pustkę w jej życiu, stał się łącznikiem między nią i mężowską rodziną, — a wychowanie jego celem, ku któremu skierowała całą duszę swoją.

Autor jest niepospolitym obserwatorem; wszystkie osoby w jego powieściach działające tchną prawdą i życiem. Zarówno dobrze maluje dzieje ducha ludzkiego, jak opisy natury. Język jego jest czysty a styl znakomity. Bądź co bądź „Komedyantka" i „Fermenty" należą do najwięcej ciekawych i oryginalnych dzieł, jakie młoda literatura w ostatnich czasach wydała.

* **Przedstawienia wagnerowskie w Bayreuth.** Dnia 19 b. m. rozpoczął się przy udziale tłumów gości pierwszy cykl przedstawień w Bayreuth odśpiewaniem „Parsivala". Tytułową partyę odśpiewał Ernest van Dyck świetnie tak pod względem wokalnym jak i artystycznym. W wykonaniu wzięli nadto udział śpiewacy: Karol Grengg z Wiednia i Karol Perron z Drezna. Mniej udatnie wypadły partye kobiece. Kundra w interpretacyi pani Maryi Brema wyszła blado; brak jej było tej siły dramatycznej, z jaką Wagner przedstawił tego kobiecego Ahasvera. Chóry i orkiestra popisały się tak, jak dawno już w Bayreuth nie pamiętają. Orkiestrą dyrygował Antoni Seidl z Nowego Jorku, który był pomocnym mistrzowi w układaniu partytury „Parsivala".

Onegdaj zakończono cykl Nibelungów przedstawieniem opery „Götterdämmerung". Kierownictwo dwóch ostatnich cyklów objął Zygfryd Wagner. Ostatnie przedstawienie w tym sezonie odbędzie się dnia 19 pm. Dany będzie po raz setny „Parsival"

Część ekonomiczna.

Wiedeń 21 lipca.

(Z.) Pomimo, że wiadomości z Konstantynopola brzmią bardzo pomyślnie i rychłe zawarcie pokoju uważać można jako zapewnione mieliśmy dziś zniżkę na giełdzie. Rozmaite okoliczności złożyły się na nią. W pierwszej linii sprzedaże drobnych spekulantów, niemogących prolongować swych zobowiązań na sierpień; w drugiej zaś linii ponowna zwyżka cen zboża wywołana niepomyślnemi wiadomościami o zbiorach w Rosyi. Wreszcie irytowało także spekulantów i to, że rada miejska rozpoczęła ferye i przez kilka tygodni nie będzie odbywała plenarnych posiedzeń. Nie ma więc nadziei, żeby rokowania o wykupno tramwaju rychło zostały nawiązane. Odbiło się to dotkliwie na akcyach tramwajowych i przedsiębiorstw elektrycznych. Żwawy ruch panował tylko na targu walorów budowlanych.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 368·75, węgierskie 396·50, Anglobanki 162·—, Uniony 302·50, Bankvereiny 260·25, Länderbanki 242·—, Ludwiki 216·50, Czerniowieckie 284·50, Elbethale 254·25, Renta papierowa 102·10, srebrna 102·25, austryacka złota 123·25, austr. renta wal. kor. 101·40, węgierska złota 122·75, węgierska renta wal. kor. 100·30, dukat 5·63, 20-frankówka 9·51½, marki 11.73—, ruble 1.26½.

§ **Z targu na bydło.** Wiedeń 26 lipca. Na dzisiejszy targ dowieziono wołów galicyjskich 1332, węgierskich 3898 i niemieckich 772, razem 6002 sztuk. Płacono za woły galicyjskie lichsze lekkie 30 do 31, dobre ciężkie 32 do 33, osobliwe prima 34 do 35, wyjątkowo 35½ zł., za buhaje i krowy 18 do 30 zł., wszystko na wagę żywą.

Teodor Romaszkan, Wassergasse 23.

§ **Z targu zbożowego na Kleparzu.**

Kraków 27 lipca.

Ceny na dzisiejszym targu znowu się podniosły, a to wskutek zwyżki na rynkach wiedeńskim i peszteńskim i stałej tendencyi, jaka obecnie w handlu zbożowym panuje. Pomimo podniesienia się cen ożywienie i chęć kupna była silniejszą, niż w zeszłym tygodniu i chętnie płacono pszenicę o 30 do 40 ct., a żyto o 25—30 ct. na 100 klg. wyżej. Inne produkta sprzedawano również o 5—10 na 100 kg. drożej.

Płacono: pszenicę białą 9·75—10·25, czerwoną 9·90—10·40, żółtą 9·90—10·40; żyto 7·10 do 7·50, jęczmień browarny 0.00—0·00, na paszę 5·90—6·25, owies 7·00—7·30; rzepak —.— do —.—, konicz czerwony —.— do —.—, biały —.— do —.— zł. Wszystko za 100 kilogramów.

Bank galicyjski dla handlu i przemysłu.

Telegramy „Przeglądu".

Paryż 28 lipca. Minister spraw zagranicznych p. Hanotaux dał wczoraj na cześć hr. Gołuchowskiego śniadanie, na którem byli prezes gabinetu Meline, minister finansów Cochery, były ambasador francuski w Wiedniu Decrais i wielu innych dyplomatów i mężów stanu

Karłowice 28 lipca. Komisarz królewski br. Nikolicz zawiesił dalsze posiedzenia serbskiego kongresu kościelnego, gdyż uchwały jego stały w sprzeczności z wyrażoną przez komisarza wolą królewską. Spór powstał z powodu ułożenia porządku dziennego, komisarz królewski chciał bowiem, aby kongres obradował przedewszystkiem nad organizacyą cerkiewną, kongres zaś brał inne przedmioty pod obrady. Celem zasięgnięcia informacyi co do dalszego postępowania uda się br. Nikolicz do Pesztu, a ewentualnie na dwór cesarski do Ischlu.

Berlin 28 lipca. Przed gmachem poczdamskiego urzędu pocztowego eksplodowała wczoraj jedna z paczek umieszczonych na wozie pocztowym.

Jeden z funkcyonaryuszy pocztowych jest ranny, a wóz z przesyłkami zniszczony. Paczka, która eksplodowała, zawierała podobno naboje, którymi cykliści bronią się na gościńcach od psów.

Madryt 28 lipca. Na stacyi Arcadilla wjechały na siebie dwa pociągi. Trzynaście osób jest rannych.

Kolonia 28 lipca. Do *Kölnische Zeitung* donoszą o stanie rokowań pokojowych co następuje: Kwestya regulacyi granicy załatwiona już jest z wyjątkiem kilku technicznych szczegółów. Sprawa odszkodowania wojennego załatwiona o tyle, że Turcyi przyznano 4 miliony funtów tureckich, ale nie zgodzono się jeszcze na to, w jaki sposób suma ta ma być dostarczona. Niektóre mocarstwa, a w ich liczbie Niemcy, są zdania, że zanim odszkodowanie wojenne nie będzie zapłacone, albo też zapłata jego w sposób niewątpliwy zagwarantowaną, nie można żądać od Turcyi, aby opuściła Tessalię.

Paryż 28 lipca. Minister Hanotaux odjechał do Vichy.

Konstantynopol 28 lipca. Zredagowano już dziewięć artykułów traktatu pokojowego. Należy się spodziewać, że mocarstwa porozumią się także co do kontroli nad finansami greckiemi. W tureckich sferach utrzymują, że przed podpisaniem traktatu pokojowego nalegać będzie Turcya na uregulowanie sprawy kreteńskiej.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 28 lipca. (Z Izby handlowej)

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215.— do 218.—. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 284.— do 288.—. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 380 — do 390.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.— Tow. budowy wagonów w Sanoku 250.— do 260.

Listy zastawne za 100 zł.; Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. a 10 proc. prem. 110.30 do 111.—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.— do 100.70 4 pr. los. w 60 lat 96.70 do 97.40. Banku kraj. 4 i pół proc los w 51 lat. 100.50 do 101.20 Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat 97.50 do 98.20. Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I. emisya) 97.80 do 98.50 4 proc. los. w 43 i pół latach 97·60 do 98.30. 4 proc. los. w 56 lat 97.20 do 97.90.

Obligi za 100 zł.: Gal fund. propinacyjnego 4 proc 98.10 do 98.80, Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.75 do —.—. Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 100·20 do —.—. Kolejowe lokalne Banku krajowego 4% po 200 koron 96.50 do 97.20. Pożyczki kraj. 6 proc. 103.— do —.—, 4 i pół proc. —.— do —.—, 4 proc. z r. 1891 97.90 do 98.60, 4 proc. po 200 koron z roku 1893 96.80 do 97.50.

Monety. Dukat cesarski 5.60 do 5.70. Napoleondor 9.47 do 9.57. Półimperyał 9.55 do —.—. Rubel rosyjski papierowy 1.26 do 1.27 100 marek niemieckich 58.45 do 58.95

Redaktor odpowiedzialny: Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia pow. St. Maniecki i Spółka Hotel Ż…, Zarządca W. Hodak.